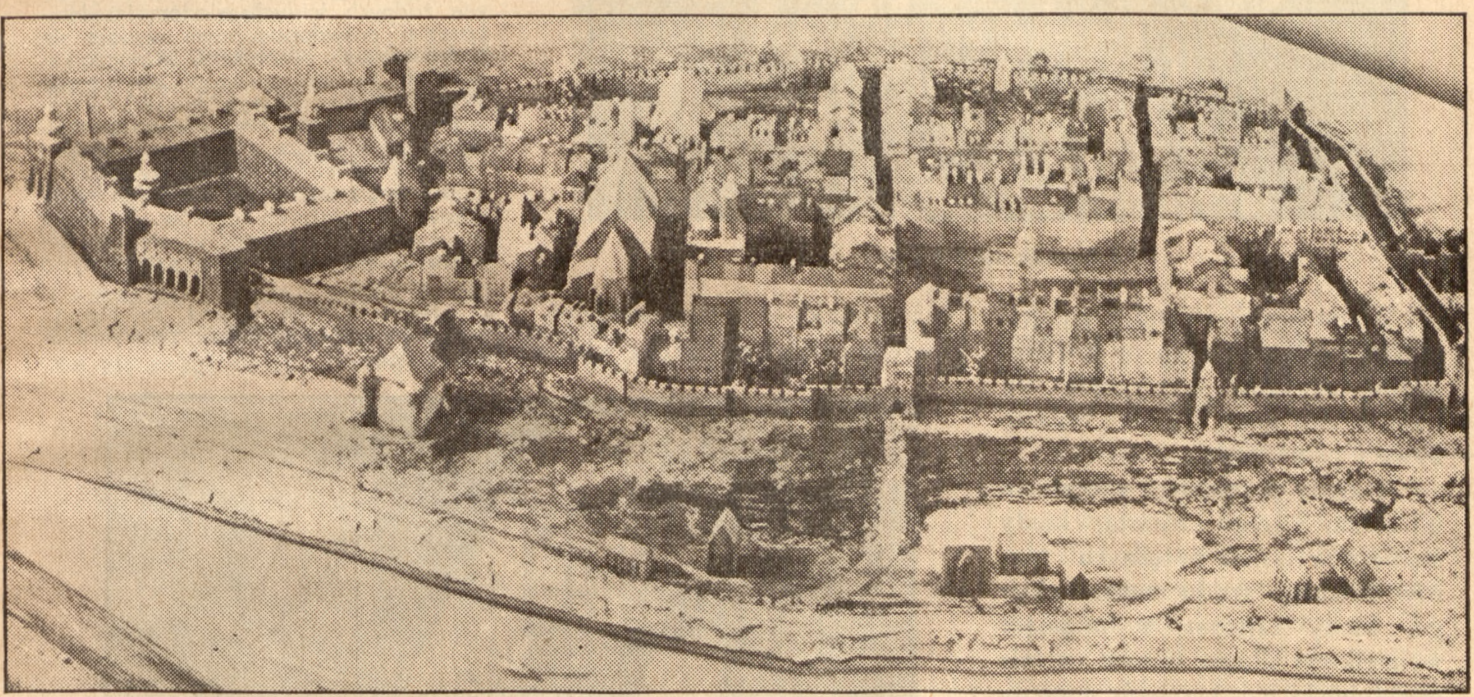
Rok IV 11 grudnia 1938 Nr. 50

POLSKA

Z LECiEHD DHUlHEn UlflRSZflUIY



Warszawa w czasie wojen szwedzkich — XVII w. (model).

Gród książąi mazowieckich

Wars zawa jest dziś wielkim miastem, jest stolicą polityczną, gospodarczą i kulturalną wielkiego Państwa. Z tym wszystkim, wydaje się nam nieraz miastem bardzo młodym, miastem, które od nie* dawna dopiero posiada swoją tra* dycję historyczną.

Wynika to oczywiście z tego, że przez bardzo długi okres dzie* jów, stolicą Polski był Kraków, mający tradycję nadzwyczaj bo* gatą, związany w pamięci Pola* ków z wielkimi wydarzeniami historycznymi, miasto, w którym na każdym kroku spotyka się za* bytki świetnej jego przeszłości. Warszawa — stała się głośna w państwie polskim właściwie dopie* ro od czasu elekcji, a dopiero od chwili, gdy stała się stolicą, to jest od czasów Zygmunta III weszła oficjalnie do historii. Do tego mo« mentu właściwie o Warszawie wie się niewiele.

Nawet i potem, kiedy Warsza* wa jest już stolicą, kiedy jest o* środkiem najważniejszych zdarzeń historycznych, tłem narodowych tragedii i triumfów — kiedy staje się zwolna sercem Polski — mówi się już o jej bohaterstwie, o pio* nierstwie kulturalnym i gospo* darczym, ale rzadko dostrzega się jej piękno i poezję. War* szawa nadal uchodzi za miasto bez tradycji, bez uroku legend i hi* storycznych pamiątek. A tych pa* miątek i legend jest bardzo wiele.

I dopiero teraz, dopiero' gdy niepodległość pozwala myśleć swo* bodnie o uroku czasów dawnych — odkrywa się powoli poezja daw*



Kamienice staromiejskie.

nej Warszawy. Z legend, z pamięt* ników i odkrywanych na każdym kroku zabytków — wygląda ku nam miasto stare i godne, miasto żywe i pełne poezji.

A kiedy przejdziesz wieczorem uliczkami Starego Miasta, kiedy staniesz w cieniu potężnych mu* rów dawnego grodu mazowieckie* go, kiedy zajrzysz w migające światełkami długie ciemne sienie staromiejskich kamienic, wtedy przed oczyma jawią ci się zażywne postaci panów radców miejskich, przy miodzie u Fukiera rozmawia* jących o wizycie królewskiej w grodzie; jawią ci się żaczkowie o jasnych jak len włosach, o niewin* nych twarzach, kryjących poza so* bą złośliwe pomysły, jakby tu sta* rą przekupkę z Wąskiego Dunaju oszukać; jawią ci się nadobne i wesołe mieszczki warszawskie, które w niedzielę paradują do fa* ry w bogatych strojach:

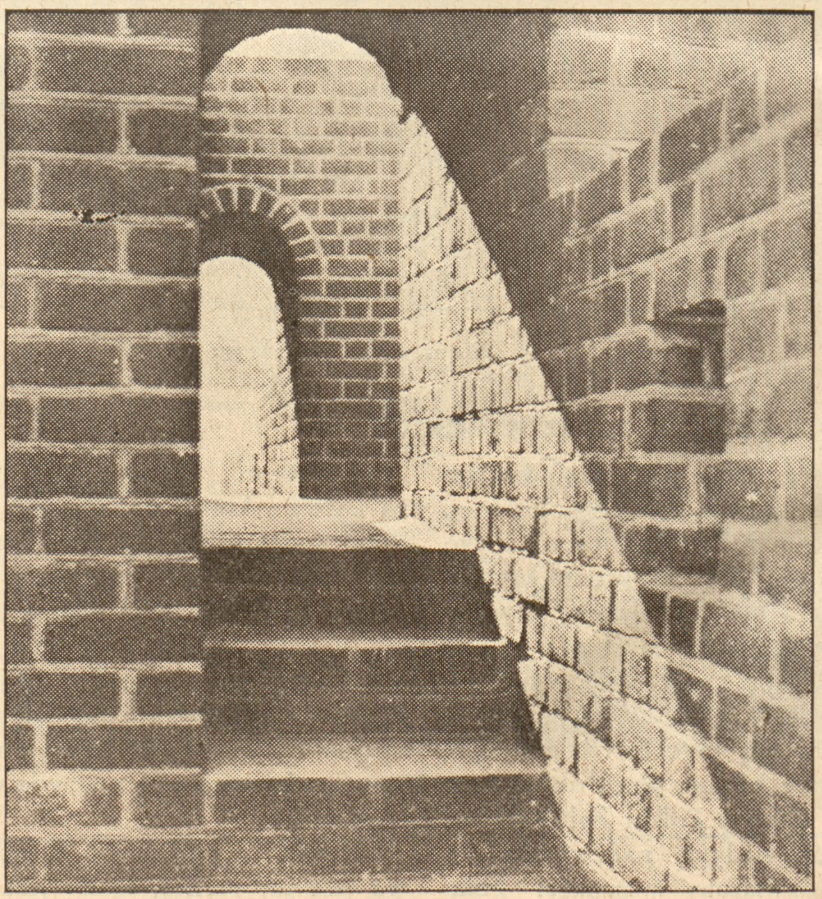
Wkoło głowy — one brezy
Spinane z włosami, krezy,
Czepiec złoty, od wymysłów
Wysokich, górnych pomysłów.
Nuż zatyczki — cud powiedzieć
Z wielkim kosztem trzeba widzieć
Łańcuchy, drogie noszenia,
Pierścień, godzien uproszenia:
Binda z szmelcem, z rubinami,
A kapelusz z faworami.
Z drogich pereł opasanie
Zwyczajne ich ukasanie.
Kiedy idzie przez ulicę
Trzyma rękami spódnicę...

I zapominasz wtedy o Warsza* wie radia, aut, jazzu i neonów, a widzisz dawne, ciche, romantyczne miasto, gród książąt mazowieckich ku obronie na wysokim brzegu Wi* sły zbudowany.

Był sobie War i Sawa...

O powstaniu Warszawy, jak każdego zresztą starego miasta, nie mamy właści- wie żadnych ścisłych wiadomości. Naj- bardziej prawdopodobnym wydaje się przypuszczenie historyków, że początko- wo była to wieś, należąca do rycerza Warsza, zwana od jego imienia Warszo- wą, a potem Warszawą. Ale podanie lu- dowe mówi inaczej. Pogodny, wesoły i spokojny lud mazowiecki nie wywodzi hi- storii swego miasta od orężnych zwy- cięstw, ani głośnych czynów. Początek Warszawy chce widzieć w wiejskiej sie- lance, w pogodnych zdarzeniach życia codziennego.

Jedna z tych legend, to historia o dobrym królu Kazimierzu, zwanym Od- nowicielem.



Mury Starej Warszawy — wejście do baszty Prochowej.

Było to — jak mówi legenda — wtedy, gdy król Kazimierz objeż*dżał swe państwo, i patrzał pilnie, czy nie dzieje się krzywda podda*nym, poza jego plecami. W jed*nym z takich objazdów zapuścił się na Mazowsze. Podejmowany wspaniale przez wojewodę wybrał się dnia pewnego na łowy i zabłą*dził w nieznanych sobie borach. Koń jego na wykrotach i pniach nieprzebytej puszczy złamał nogę i król strudzony niezmiernie, głod*ny i zziębnięty napróżno szukał drogi do zamku. Dopiero wydep*tana w mchu ścieżka wyprowadziła go na skraj boru. Ale wojewodziń*skiego zamku nie było widać ni*gdzie. Natomiast u stóp króla szu*miała bystra rzeka.

Na jej urwistym brzegu stała chata rybacka. Król zapukał do drzwi, suknie mając podarte o gę*ste krzewy i ochlapane błotem, i nie mówiąc kim jest poprosił o gości*nę.



Rynek Starego Miasta.

Biedny rybak przyjął serdecznie nieznanego rycerza, mimo, że są*dząc po szatach nie liczył wcale, aby mu się mógł kiedyś wywdzięczyć obdarty chudzina. Prosił jednak, aby nieznany gość trzymał mu do chrztu dwoje dzieciąt, bliźnięta, które tego właśnie dnia przyszły na świat w małej chatce.



Mury starej Warszawy — blanki muru wewnętrznego z XIII wieku.

Nazajutrz rankiem odnalazł króla w rybackiej chacie strwo*żony wojewoda. Ale król nie zaraz odjechał do zamku. Wprzódy w parę z panią wojewodziną trzymał do chrztu rybakowe bliźnięta. Na*dał im też imiona: chłopca nazwał War, a dziewczynkę Sawa. Daro*wał ich ojcu szmat ziemi nad rze*ką i prosił, by nazwał tę miejsco*wość Warszawą.

Inna znowu legenda o nazwie Warszawy mówi, że przed laty, kiedy na tym brzegu Wisły nie by*ło jeszcze miasta, tylko wieś rybac*ka, na skraju wsi, nad samym brzegiem rzeki mieszkała młoda i hoża wdowa Sawa. Nie mogąc so*bie dać rady z uprawianiem pola, ani łowieniem ryb, żyła z tego, że warzyła strawę dla przepływają*cych Wisłą flisaków.

Dobra była gosposia z pięknej Sawy, bo flisacy, którzy choć raz się zatrzymali w jej gospodarstwie,

potem dopływając do wsi, już od brzegu wołali:

— Warz Sawa — bo pilno im było do smacznego jadła.

Tak się to zawołanie „Warz Sa* wa" przyjęło, że w końcu zaczęto wieś na urwistym brzegu Wisły nazywać najpierw Warzsawa, a potem Warszawa.

Historia Gryfa i Syreny

Wszyscy dziś wiedzą, że herbem Warszawy jest syrena. Ale ten herb nie-zawsze wyglądał tak jak dziś. Dawniej, jeszcze nawet w siedemnastym wieku, sy-rena w herbie Warszawy wyglądała nie jak pół-kobieta, pół ryba, ale jak pół-ko-bieta, pół gryf. Miała ona rybi ogon, nogi ptasie i skrzydła. A jeszcze dawniej, kie-dy pieczęcie rysowane były bardzo nie-udolnie, herb tak, jakby to był gryf, czy ptak dziwny. Otóż i o tym istnieje legen-da.

W dawnych, bardzo dawnych czasach — mówiono — obrońcą i



Chrześniacy królewscy — War i Sawa.

znakiem Warszawy był gryf. Mie* szkał on w Wiśle i strzegł miasta przed wrogami i potworami. Pew* nego razu, w walce ze smokiem za* puścił się aż do morza. I, w morzu zobaczył cudną syrenę.

Dużo czasu upłynęło, nim wa* leczny gryf zdobył serce morskiej boginki i powrócił z nią razem, ja* ko ze swoją żoną do Warszawy. Ale przez ten czas, źle się nad Wi* słą działo. Różne wodne potwory

zagnieździły się pod Warszawą, porywały i pożerały dzieci, rwały sieci rybakom i rządziły się, jak u siebie.

Gryf stanął sam jeden do wab ki z nimi. A syrena siedziała na brzegu i wielkimi oczami patrzała na okrutne zapasy. Gryf obronił ukochane miasto i zwyciężył po* twory, ale zginął poraniony stra* szliwie. Syrena zapłakała perłowy* mi łzami i pożałowała ogromnego morza, gdzie jej było tak dobrze. Ale kiedy spojrzała na osierocone miasto otarła łzy, wzięła tarczę po* ległego gryfa i jego miecz srebrzy* sty uniosła do góry.

— Teraz ja cię będę broniła, mia* sto ukochane.

I tak syrena stała się herbem miasta Warszawy.



Warszawa w XVI Ąsztych oryginalny).

O krucyfiksie w warszawskiej farze

Jest w warszawskiej farze św. Jana cudowny krucyfiks. Wisi w ciemnej kapli-cy po prawej stronie głównego ołtarza. Po obu jego stronach błyszczą i skrzą się niezliczone wota.

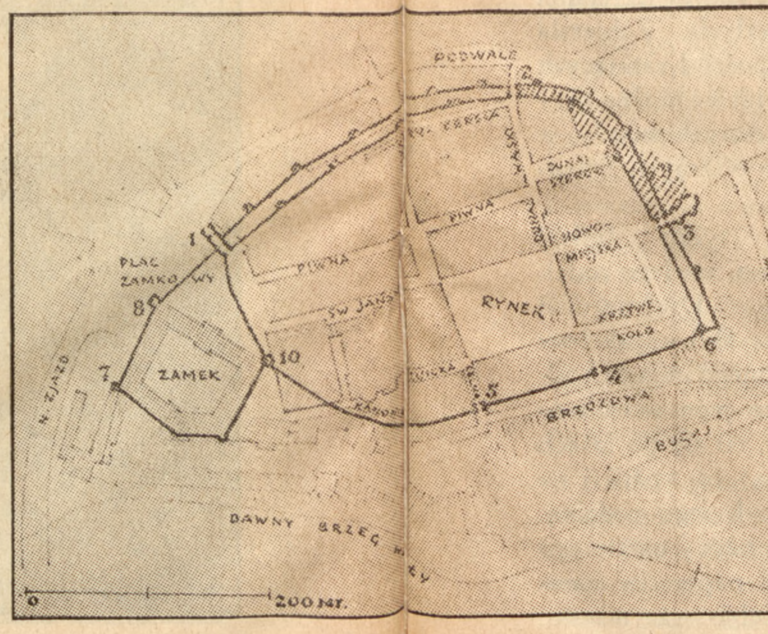
Chrystus na krzyżu ma twarz bolesną i zamyśloną. Opowiadają o tym krzyżu, że przeszedł koleje dziwne i tajemnicze.

W czasie walk i napadów ta* tarskich pewien szlachcic polski dostał się do niewoli. Przechodząc z rąk do rąk jako niewolnik, w nę*

dzy i poniewierce przywędrował do Stambułu. Na jednym z placów zo* baczył tam przed studnią wbity w ziemię krzyż z figurą Chrystusa. Turcy, pojąc konie, przywiązywali je nieraz do krzyża. Nie mógł pa* trzyć na takie pohańbienie świętoś* ci szlachcic, zakradł się więc w no* cy na plac i wyrwał krzyż. Nie mógł go przecie nigdzie schować, więc rzucił do głębokiej studni, aby się więcej do rąk niewiernych nie do* stał.

Po kilku latach, szlachcicowi u* dało się zbiec z niewoli. Przywę* drował do Warszawy i osiedlił się tu na stałe.

Pewnej nocy usłyszał wielką wrzawę i zobaczył przez okno, że wielkie tłumy ludzi dążą na brzeg wiślany. Zapytał tedy, co się sta* ło? Ale nikt nie odpowiedział. Po* dążył na brzeg — i zobaczył na środku Wisły unoszący się na wo* dzie krzyż. Przypłynął on tu nie* wiadomym sposobem i zatrzymał



Plan miasta [illegible] Warszawy.

się mimo prądu. Ludzie chcieli krzyż wynieść z rzeki, ale prąd od* wracał do brzegu wszystkie łodzie. Wtedy szlachcic zstąpił niżej na brzeg i fale opadły, a prąd wody jakby zatrzymał się w miejs* cu. Szlachcic siadł do łodzi i wtedy szara fala zaniosła go po księżyco* wej smudze do samego krucyfiksu. Ujął go mocno w obie dłonie i wyniósł na brzeg. A potem, w ra* dosnej procesji, przy śpiewie, wśród dymów kadzideł zaniesiono krzyż do fary, gdzie do dziś dnia pozostaje.

Inna legenda o tymże krucy* fiksie mówi, że Chrystusowej figu* rze rosły bujne, miękkie loki. Tak rosły, jakby żywemu człowiekowi. Trzeba je było obcinać, by nie przesłaniały twarzy Zbawiciela. A



Mieszczka warszawska.

obcinała te święte loki wybrana z wybranych, dzieweczka cnotliwa i pobożna. Każda mieszczańska cór*

ka w Warszawie marzyła o tym, aby w nagrodę za cnotę i poboż* ność jej przypadło w udziale obcię*



Dawny herb miasta.

cie włosów Chrystusa poświęcony* mi nożyczkami.

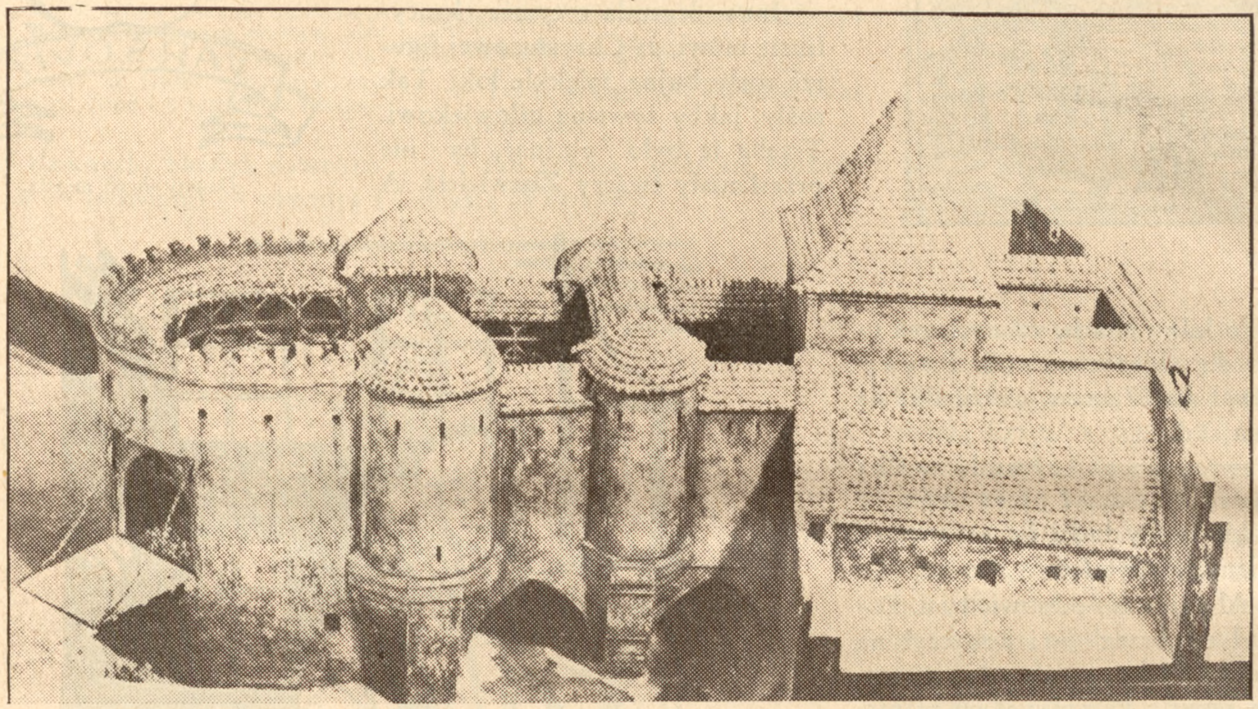
Pewnego roku, po uroczystej

procesji Bożego Ciała, ksiądz wy* jął srebrne nożyce. Włosy Chry* stusowe obciąć miała piękna bur* mistrzanka. Cała Warszawa mó* wiła, że cnotliwszej panny nie znaj* dzie w mieście. W białej sukience, w wianuszku białych kwiatów bur* mistrzanka, podeszła do ołtarza. I nagle ręka jej zadrżała i z pochyło* nej głowy zsunął się wianuszek. Srebrnymi nożycami ucięła święte pukle, a Chrystus wtedy niechętnie głową potrząsnął, uchylając ją spod nożyc. Burmistrzanka jak ptak ze* strzelony zsunęła się z ołtarza. Bo

Oto legenda o panu Łukaszu Drewnie, który Warszawie burmistrzował w czasie wielkiej zarazy w r. 1624.

Sławetny Łukasz Drewno, w te ciężkie czasy burmistrzem po* wietrznym jednogłośnie obrany, obchodził powierzone swej opiece miasto. Bo choć miasto strzeżone było pilnie, choć wały podwyższo* no i bramy zamykano, to jednak nie było pewności czy wróg naj* straszliwszy — mór — do miasta się nie wcisnął. Chodził tedy pan Łukasz sam pustymi ulicami w póź* ną noc, za całą obronę mając tył*

nich wychodzić. Kto tam był, mu* stół się sam ze śmiercią porać. Lecz wkrótce zobaczył burmistrz Drew* no, że całe ulice zaznaczone są krzyżami, że mór dąży coraz dalej. Kazał więc te ulice zamurowywać i zabijać deskami na krzyż, jak po* przednio domy. Nic jednak nie po* magaio. Z grodu poczęli uciekać ludzie owładnięci panicznym stra* chem, uciekali w pobliskie bory, woląc walczyć ze zwierzem, niż ze straszliwą, nieuchwytną zarazą. Wyludniło się miasto — kto nie uciekł, ginął w domu czy na ulicy



Model barbakanu przy bramie Nowomiejskiej (w. XIV).

Chrystus widział jej serce. Nie na* leżał jej się przywilej obcinania Chrystusowych włosów, nie nale* żał jej się panieński wianek. Od te* go czasu, Chrystusowi u fary prze* stały odrastać włosy.

O „powietrznym" burmistrzu

Warszawa ówczesna jak wszystkie miasta, to miejsce pielgrzymek rzesz licznych. Jedni idą tutaj, aby przy cudownej figurze łaski za grzechy uprosić, drudzy, aby w miejskich winiarniach w napoju smakowitym troski swoje utopić, inni jeszcze, aby swój towar niesiony zdaleka sprzedać, clbo na co innego wymienić.

Radują się mieszczanie, słyszgc wielki gwar na ulicach, bo jak jest gwar to podróżni idą i jeszcze jeden talar można będfie do kutej skrzyni odłożyć na nową kamieniczkę. Ale nie zawsze szczęście i dobrobyt przynosili do miasta podróżni. Czasami przywlekała się za nimi „mors nigra" — czarna śmierć i pustoszyła gród.

ko laskę i krzyż — środek od morowego powietrza wielce po* mocny. Czujność powietrznego burmistrza nie była niepotrzeb* na, bo oto na jednym z ro* gów spotkał się z tą, przed którą całe miasto drżało. Naprzeciw bur* mistrza szła śmierć morowa, odzia* na w białe chusty, trującym odde* chem zarażając mieszkańców. Nie uląkł się burmistrz śmierci, ale wy* powiedział jej walkę srogą — bez* litosną. Z jego rozkazu wyszli na ulice ludzie ubrani w długie opoń* cze znaczone czarnym krzyżem, by zbierać i grzebać trupy, inni zaczęli czarnymi krzyżami znaczyć domo* stwa, które morowe powietrze na* wiedziło. Do domów tych nikomu nie wolno było wchodzić, ani z

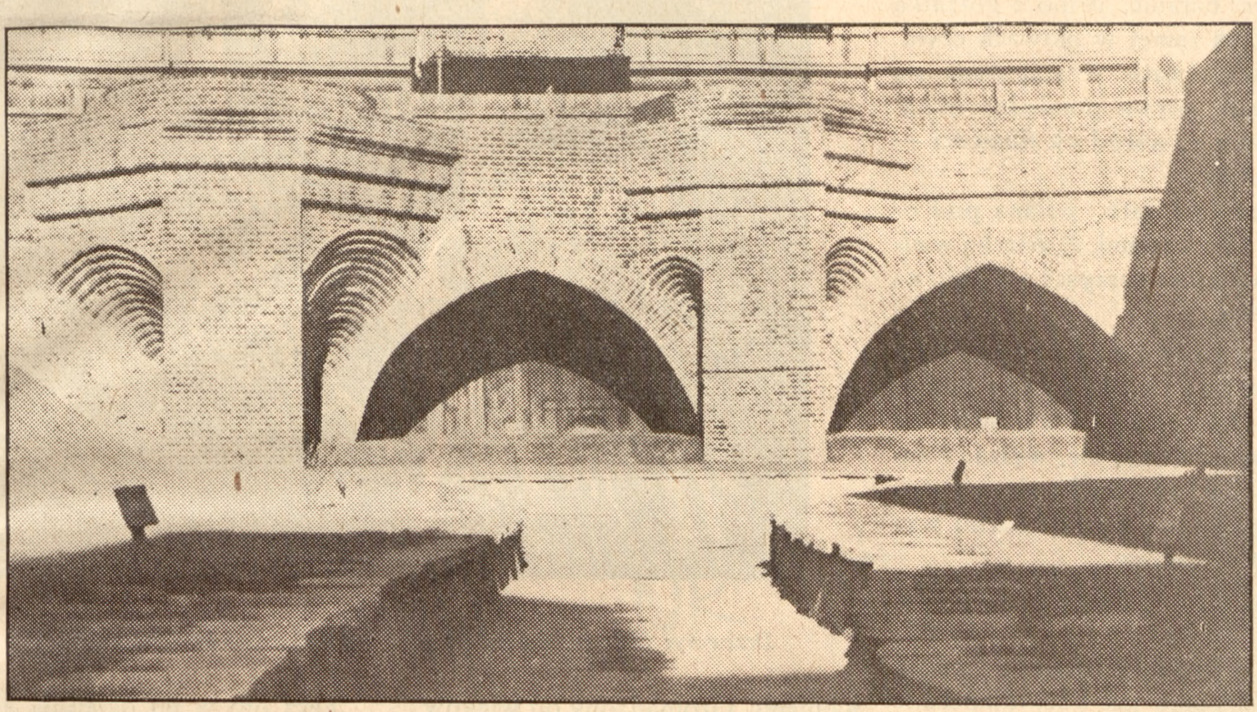
— brakowało już rąk do zbierania i grzebania umarłych. Zabierała śmierć ofiary i spośród ratujących i po dziś dzień widzieć można przy kościołach i klasztorach mogiły, w których składano ofiarnych ratow* ników.

Nie tknęła tylko śmierć burmistrza Drewno, ani jego rodzi* ny. Lecz pan Łukasz Drewno miał rodzinę liczniejszą. Był wszak bur* mistrzem zagrożonego miasta, od* powiedzialnym za jego mieszkań* ców. Ci wszyscy, co się po lasach tułali, ci wszyscy, co zmarli i na śmierć czekali, byli jego rodziną. Postanowił więc użyć ostatniego środka. Wyszedł naprzeciw zara* zie i ofiarował siebie za miasto. Lecz tej ofiary było śmierci za ma*

ło. Dała śmierć burmistrzowi po* wietrznemu do' wyboru: albo da jej pokój i nie będzie swymi zarządzę* niami przeszkadzał szerzeniu się moru, albo też zginie ktoś z jego najbliższej, dotychczas ocalałej ro* dżiny. Zadrżał nieszczęsny bur* mistrz. Lecz wspomniał na złożo* ną u Fary przysięgę, gdy odbierał klucze miasta i teraz w chwili de* cydującej ją powtórzył. Wybrał — poświęcił bliskich, a śmierć zwyciężona ustąpiła i przestała nę* kać miasto.

płomień ognia uwięzili w ciasnych kominach wśród osmolonych garn* ków i w mdłych, kopcących lam* pach, skurczeni na szewskich zyd* lach i krawieckim stole, schyleni nad stolarskim strugiem, nad ko* wadłem, nad toczydłem, iglicą, stą* gwią, miechem, nad szynkwasem wreszcie i kantorkiem — z rzadka podnosili głowę ku niebu, gdzie dłoń Boga wysklepiona nad nimi jak gniazdo w koło piskląt.

Tu, blisko, przy każdym kuma stoi — troska. Ułapiła za kark i dym cugu jednakowej maści, jed* nakowej więzi, równo łby wźno* szą i równo wyrzucają nogami, wszystkie rosłe, wszystkie piękne, czy te krwi tureckiej, wołoskiej, hiszpańskiej, meklemburskiej, czy ze stadnin polskich wybrane. To* czą się z chrzęstem rozpychając so» bą ciasne mury, napęczniałe, mięk* ko ścielone poszóstne karoce. Lśnią szory rzemienne, wyświeco* ne tynkturą, umiejętnie przyprą* wioną z gorzałki tęgiej, sadła, sa* dzy gdańskich i wosku, błyskające



Most barbakanu bramy Nowomiejskiej.

Płaszcz maiki

Ale nie tylko zaraza była głównym wrogiem Warszawy. Brak wody i wq-skość uliczek to przyczyna, że itekroć „czerwony kur" zawitał do miasta, po-żar kończył się katastrofalnie. Ucierpia-ła zwłaszcza stolica w XVII w. w czasie ustawicznych wojen. Lecz siła żywotna mieszczaństwa warszawskiego zwycięży-ła klęski żywiołowe, po każdym pożarze, po każdej epidemii miasto odbudowywa-ło się na nowo, zyskujgc coraz piękniej-sze budowle.

Pożar stolicy jest tłem jednej z dzie-sięciu legend, zawartych w pięknej książ-ce Ewy Szelburg-Zarembiny — Legendy Warszawy. Z książki tej, pięknie ilustro-wanej drzeworytami Stefana Mrożewskie-go wyjmujemy legendę p. t. Płaszcz matki.

Ludzie grodu, mieszczanie, dla bezpieczeństwa i oszczędności ci* snący ścianę do ściany, dach w dach wspierający, co zaduchem i dy* mem odgrodzili się od gwiazd, słońca i lotnego powietrza, a żar i dzierży mocno, i do> ziemi gniecie, i naszeptuje w ucho- Bacz! I uka* żuje na jurydyki szlacheckie, co w koło grodu pod bokiem mieszczan poczynają się jawić, by wyciskać z grodu i tłoczyć, i nagarniać zyski do szlacheckich gardeł nigdy nie sytych.

— Co radzisz, kumo?

Milczy. Trudno mieć radę bez głosu i bez praw, i bez szabli w rę* ce z trzcinową jeno laską, dobrą do postukiwania o wyłupiaste kamie* nie, grzęznące w odwiecznym kale i błocie, zalegającym ciasne przej* ścia między murami.

A oto rozruszało się na moment błoto, jak ziemia tknięta pługiem odwaliło się skibami na mury: szły cugi wielkopańskie. Konie w każ* mosiądzem i srebrem szczerym. Barwią się błękitem i karmazynem lejce jedwabpe i te powleczone ak* samitem, złotą nicią dziergane. Suto trzęsą się kity u łbów koń* skich, zaplotki w gęstych grzy* wach i róże wpięte wedle uszu, na kłębach i nad ogonami. Trzaskają przystrojone w srebro bicze stan* gretów i harapniki hajduków. Za wielkimi panami ciągnie szara brać, kto konno, kto piechotą, z szablą w węgorzowej skórze u boku. Na* dążają podwody ze sprzętem obo* zowym, bryki z pościelą, wozy ku* chenne.

Zjechała szlachta na sejm do grodu.

Sejm — panów możnych mię* dzy sobą porachunki. Ani posły*

szysz tam głosu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, zahukanej wrza* skiem szlacheckich gardzieli.

Trzebaż te chude gardziele su* to trunkami i jadłem maścić, by śpiewały gładko wedle poddanej przez wielmożów nuty.

W ten mig stanęły po podwó* rzach, po sadach szałasy ze stola* mi do poczęstunku. A najgęściej wyrósły pod oknami mieszczan w samym Rynku. Zdjęta po temu bruki — ustawiono kuchnie. Wa< rzą się pieprzno i słono mięsiwa wołowe, baranie. Wino z gorzałką zmieszane zamęt w głowach czyni. Pupilla libertatis w stągwiach się przegląda, pływa pomiędzy okna* mi w rosole, wśród ok tłustości — najtłustsza!

Trzaskają suto polana pod o* smalonymi kotłami. Z uciechą wiel* ką dmuchają wszyscy diabli na płomienie.

Lecą iskry po powietrzu, pola* tują kąśliwe i ciche między domo* stwami mieszczan. Przysiadły na którymś, oblizują się, węszą. I na* gle — już wszczepiły się czerwo* nymi pazurami w zrąb dachu wy* schnięty i smolny.

Hu! Hu! — dmą ucieszone dia* bły.

Iskry rosną w oczach, mnożą się, rozbiegają jak koty diabelskie z dachu na dach, skaczą ze ściany na ścianę. To w dół, to w górę, jak diabelskie nietoperze wiją czerwo* ną błoną skrzydeł, skrzydłami w falę ognia się wiążą, w szumiącą, huczącą rzekę pryskającego żaru, zalewają, kłębiąc się, wrąc i kipiąc, niebo nad Rynkiem, Rynek, ulice Przyrynku. Płyną bystro ku kate* drze Świętojańskiej, ku Zamkowi.

— Go * re! Go * rei — ocknęły się za późno dzwony świętego Ja* na. A już w krwawej paszczy po* żaru ginie połowa miasta. Trzesz* czą miażdżone wiązania dachów, w drzazgi łamią się zwęglone bale, kruszą rozpalone do czerwoności



Płaszcz Małki.
Drzeworyt Stefana Mrożewskiego z książki ,.Legendy Warszawy".

kamienie. Gromadzony od wieków, rozpada się, ginie dobytek ludzki.

Z zabiegów, starań, zasobności — perzyna.

Odarci z dachu nad głową sła* wetni obywatele grodu, w nędzną trzodę pogorzelców z nagła prze* mienieni, miotają się jeszcze z to* porami, z bosakami, z wiadrami w osmalonych, popieczonych rękach — żałosna to walka. Już trzy części miasta w dymiących gruzach leżą — zwycięski pożar na coraz no* wych, coraz dalszych domach za* tyka ogniste chorągwie.

Zagłada! Przepadnie gród wszy* stek. Kamień nie pozostanie na kamieniu.

Lecz oto w tej ostatniej godzi* nie podnoszą się wszystkie głowy ku niebu. Z wielkim wołaniem wy* ciągają się w niebo wszystkie ręce:

— Matko, ratuj, bo giniemy!

Czujna na każdy głos z ziemi — usłyszała. Zeszła z niebiosów w ła* godnym powiewie błękitnego pła* szcza.

Właśnie pożar dosięgał krwa* wymi szponami siedemdziesiątego domu na Kanonii...

Wyprzedziła go. Stanęła na szczycie tego domu i roztworzyw* szy ramiona płaszczem swym na* kryła ten dcm, i tamte obok, i po* zostałą resztę grodu — Matka Bo* ga i ludzi, Maryja.

najbliższy numer „Polski" poświęcony będzie Warszawie przyszłości

Wydawca: Światowy Związek Polaków z Zagranicy, Mazowiecka 1.

Szef Biura Prasowego Ś. Z. P. z Z.: Inż. J. Grabowski — Redaktor Wydawnictw Ś. Z. P. z Z.: Władysław Oszelda.

Zakłady Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8.